

# Similaun 2012 – dla Andrzeja

## Wstęp [Dziku]

To był grudzień 2012 roku. Zatem 8 lat zbierałem się do napisania relacji i wygląda na to, że już tego nie zrobię. Jest jednak tekst upamiętniający tamte zdarzenia. Napisał go przed laty Dawid a dziś odnalazłem go na jednym z nośników pamięci. Swoje odleżał, teraz czas na publikację. Dziś jest mi to zrobić łatwiej bo bardziej odporny jestem na oceny. W końcu to coś co ludziom wychodzi najłatwiej – wyręcznie Boga i wydawanie osądów. Co nie zmienia faktu, że zrobiliśmy rzecz głupią i nie mieliśmy prawa tego przeżyć, a już na pewno nie Aga. Nigdy nie zapomnę tego widoku, kiedy próbując utrzymać się na powierzchni lawiny zobaczyłem ją pędzącą wraz z masą śniegu z niezwykłą prędkością w dół żlebu. Trwało to zaledwie sekundę, kiedy Aga zniknęła z naszego pola widzenia. Śnieg był mokry i ciężki, więc każdy jego mały fragment miał wystarczającą masę i siłę by przydusić, zabić na miejscu. I ta kula, która zatrzymała się metr od głowy zabetonowanej i unieruchomionej Agi...

Wpis ten zamieszczam też dlatego, że chcę upamiętnić czas, kiedy poznałem wspaniałego człowieka, który niedawno odszedł z tego świata.

Andrzeju – znajomość z Tobą i Twoją rodziną wpłynęła na nasze życie – nawet nie wiesz jak bardzo. Podejrzewam, że tego nie przeczytasz, bo tam gdzie jesteś może być problem z Wi-Fi. Zakładam więc, że wszystko opowiemy Ci gdy się spotkamy.

*„No cóż, warunki są, jakie są. Nic nie poradzimy. Przeżyć chcemy, natomiast ciężka pogoda nas nie boli. Generalnie zima: sporo śniegu już leży, trochę pada, konkretnie dmucha i jest zimno. Będzie fajnie.”*

Andrzej Głazek (1963-2019)



Aga, Janek, Dawid, Dziku i śp. Andrzej



Lawiniska



W drodze do schronu



Powrót ekipy z podejścia na Similaun



Martin-Busch Huette



Droga na Kreuzspitze



W drodze na Kreuzspitze



Po wyjściu z lawiny



Similaun (3603)



Powrót



Wildspitze



Vent w zimowej odśłonie

## Relacja [Dawid]

Skąd pojawił się ten pomysł? Wrocław, knajpa pod nasypem, grudzień 2010. Zapytałem Jarka: „Czy dałbym sobie radę?”.

Odpowiedzią nie było „nie”.

Jeszcze tego wieczora zobaczyłem na własne oczy jedną członkinię wyprawy na Ural i umocniłem się w przekonaniu, że też kiedyś spróbuję.

Wyjazd chodził po głowie przez kolejne dwa lata. Problemem było moje doświadczenie w górach: Kopa wyciągiem, Wielka Sowa, no i oczywiście film o wspinaczce na K2.

### **13.11.2012**

Kolejna wycieczka organizowana przez Dzika „SIMILAUN 3599 m n.p.m.”, tym razem nie przepuszczę.

Dziku i Pani Sandra ze Skalnika (tego niebieskiego) pomogli skompletować co potrzebne.

Pytanie Pani Sandry „Wiesz, że w Alpach zimą jest niebezpiecznie, po co tam jedziesz?” utwierdziło mnie w przekonaniu, że Alpy zimą na początek to dobry wybór.

### **12.12.2012**

Podejmujemy ryzyko i wyjeżdżamy z Wrocławia. Zagrożenie lawinowe w Ötztal Alps utrzymuje się na poziomie 3. Prognoza pogody napawa optymizmem, może spadnie na 2.

Wczesnym rankiem po ok. 10 godzinach jazdy po pustych autostradach, jesteśmy w Vent 1893 m n.p.m.

### **13.12.2012**

Na miejscu szukamy parkingu i przy drugiej próbie udaje się nam zaparkować w podwórku za hotelem. Miły Pan informuje nas, że nie musimy za nic płacić i pyta gdzie idziemy, kiedy wrócimy?

-Martin-Busch-Hütte, Similaun, duże zagrożenie lawinowe, wiecie o Tym?

-Wiemy.

Do Schäferhütte 2244 m n.p.m. szliśmy przetartym szlakiem.

Powyżej zaczęły się trudności i pierwsze zdziwienie –

przejścia po lawiniskach. Dla mnie wyczyn życia i jak stromo!

Na sam koniec nasza grupka rozciąga się. Odczuwamy brak jednej pary rakiet (tzn. Dziku odczuwa).

W 7 godzin przeszliśmy 9km i uzyskaliśmy 600 m przewyższenia. Na trasie spotkaliśmy tylko stado kozic.

2501 m n.p.m Martin-Busch-Hütte

Nagroda: światło, ogrzewany przedsionek i pomieszczenie na graty.

Jest jeszcze jasno, Janek i Jarek pozwalają sobie wyskoczyć na mały rekonesans trasy.

-Dużo śniegu, widać Similaunhütte.

(zawiało optymizmem i już w myślach robiłem zdjęcia pod krzyżem na szczycie)

#### **14.12.2012**

Przy świetle czołówek wyruszamy ze schroniska, staramy się trzymać szlaku letniego i idziemy trawersami po zboczu. Jednak przy takiej ilości śniegu i ograniczonej widzialności idzie nam opornie, do tego kilka żlebów i strumyków.

Ja zapadałem się w rakietach do połowy łydki, a Dziku bez rakiet do połowy uda.

Po 3 godzinach torowania Dziku rezygnuje z dalszego podejścia i zawraca do hotelu.

(Jak się później okazało jego powrót był walką ze śniegiem sięgającym do pasa.)

Janek i Andrzej przecierają szlak, a Similaunhütte dalej nie widać.

Dopiero pod samym lodowcem zauważamy punkt orientacyjny-Similaunhütte.

Zmiana kijków na czekany i zdobywamy wysokość podchodząc pod lodowiec.

Na 3100 m n.p.m wchodzimy powyżej pułapu chmur. Tego widoku nie zapomnę do końca życia.

Muszę się zatrzymać na dłużej i zrobić zdjęcia.

Pokonaliśmy dopiero 700 m przewyższenia i zajęło nam to 5,5h.

Similaun kusi i jest jakieś 1,5 godziny od nas.

Ja osiągnąłem tego dnia swój mały cel „próba lodu z lodowca” i mogę odpuścić. Poza tym cały czas jakoś dziwnie brakuje mi tchu.

Możliwość powrotu z czołówką nie motywuje nikogo do podjęcia wyzwania.

Na 3200 ja i Aga objadamy się bakaliami i słodkościami, popijając resztką herbaty. W tym czasie Janek i Andrzej atakują dalej, w poszukiwaniu lepszego widoku.

Powrót okazał się stosunkowo łatwy i szybki. Widzialność poprawiła się znacznie, co pozwoliło wybrać nowy krótszy szlak. O 15:30 wszyscy byli w schronisku.

Dziku tak jak obiecał przygotował „schabowego” i pyknął kilka fotek powracającej grupie.

Odnalazł też zasypany strumyk obok schroniska, przez co nie musieliśmy już topić śniegu i mogliśmy się wykapać.

Na jutrzejszy dzień planujemy wyjście tak, aby nie torować już kilometrów w kopnym śniegu.

W menu mamy Kreuzspitze. Na lodowcu wymyśliłem, że jutro swoje rakietki oddam Dzikowi, przez co nigdzie nie pójdę. W ten prosty sposób, nie wyjdę na słabego, tylko na bohatera.

Mój misterny plan się nie sprawdza, mamy iść tylko w rakach.

## **15.12.2012**

Wypoczęci i zaaklimatyzowani startujemy godzinę przed świtem. Tym razem, od razu zaczynamy ostro do góry, co bardzo mi się podoba. Dobra widzialność, stromo, ślisko, takie góry to ja lubię.

Na wypłaszczeniach jest tyle śniegu, że nie da się go torować, ale można się po nim czołgać.

W przeciwieństwie do dnia poprzedniego na ok. 3100, pogoda pogarsza się, pada śnieg i temperatura dodatnia, jednak liczymy na poprawę i dzielnie torujemy do góry.

Po 4h doszliśmy do kopczyka/statywu i Dziki pstryka pamiątkową

fotę całej drużynie.

Ten odpoczynek przed szczytem tak rozleniwił drużynę, że rezygnujemy z dalszego podejścia.

Tego dnia znowu marne 3200 m, Aga pociesza mnie, że to dużo w Alpach zimą...

Powstaje nowy plan zejścia jeszcze dzisiaj do samochodu i wyjazdu do PL.

Dziku rasowy instruktor przytacza statystyki: „80% wypadków zachodzi podczas powrotu, uważajcie.”

Staramy się wracać śladami, które zdążyło już częściowo zasypać.

Wszystko szło ekspresowo, a tu nagle mylimy drogę i lądujemy dwa żleby od dobrej ścieżki.

Trzeba się przedostać na dobrą stronę, wybieramy płaskie miejsce i tniemy żleb. Zachowujemy odstępy, Dziku po chwili jest już na drugiej stronie. Aga przechodzi druga i jest już na przeciwnym zboczu.

Kolej na mnie. Schodzę z ubitego kawałka w miękki śnieg i słyszę ten dźwięk... Wypowiadam słowo świadczące o niskiej kulturze osobistej i staram się przeskoczyć na twarde, gdzie stał Janek i Andrzej. Jednak przesunąłem się już o dobry metr od nich. Basowe grzmienie narasta i kątem oka widzę Agę szybko jadącą na dół.

Ja też zaczynam osuwać się z masą śniegu, pechowo upadłem twarzą w śnieg, staram się hamować czekaniem, ale nie przynosi to efektu. Zaczyna się robić coraz ciemniej i przy próbie oddechu mam pełną buzię śniegu.

Postanawiam przerolować się na plecy. Uff, znowu zrobiło się jasno. Wpadam na pomysł, żeby przerolować się znowu i próbować hamować. Tym razem jest to skuteczne, uderzam kolaniem w kamień i cieszę się, że pod spodem jest twardo. Wreszcie zatrzymałem się, słyszę poruszający się śnieg, ale nie jadę, delikatnie mnie przysypuje.

Jupii!, wszystko ustało. Przejechałem jakieś 50 metrów Janek i Andrzej stoją, tam gdzie ostatni raz ich widziałem.

Dziku, też jest, nie widać Agi. Zaczynamy krzyczeć, ale nie słychać odzewu.



Patrząc w dół, widziałem tylko śnieg i obawiałem się najgorszego,

Jednak Dzik uradowany krzyknął, że widzi rękę i czerwoną czapkę.

Aga zatrzymała się w połowie długości lawiny, przejechała lekko 150 metrów. Przez cały czas udało jej się utrzymać na górze, jednak na koniec zabetonowało ją w dość finezyjnej pozycji. W swojej zielonej kurtce przypominała rozjechaną żabę z czekanem w ręku. Drugą wolną ręką mogła odkopać głowę. Odkopanie jej, zajęło nam dobre 5min. Aga oprócz kontuzji kostki wyszła z tego bez większych obrażeń.

Dalsze zejście, to dobra lekcja dla początkujących, troszkę wspinaczki i ciągłe wyszukiwania twardych miejsc porośniętych trawą. Byliśmy przy tym mocno motywowani wzrostem temperatury, poprawą pogody i mikrolawinami pod naszymi nogami. Ze stoku na szlak zeszliśmy po śladach kozic i dalej bez większych przygód przez potężną zaspę doszliśmy do schroniska.

Przy takiej pogodzie zejście do Vent byłoby nierozważne, więc pozostałą część dnia przeznaczaliśmy na suszenie się przy rozpalonej kuchni.

## **16.12.2012**

Tej nocy nie przespałem tak spokojnie jak ostatniej. Bardzo liczyłem na mróz, który zmroziłby śnieg leżący w żlebach. A według mapy mieliśmy ich pokonać osiem.

Już w nocy wiedziałem, że na duży mróz nie można liczyć. Jedyny plus to brak świeżego śniegu. Czekał nas dzień pełen wrażeń.

Po przejściu 100 m od schroniska Jankowi i Jarkowi zwariował błędnik po przesunięciu się z taflą śniegu. Na drugim żlebie zadeklarowałem, że za żadne skarby nie przejdę przez zaspę. Kupą światła z czołówek wyszukaliśmy bezpieczny szlak wyżej.

Dalsza trasa była względnie bezpieczna. W niektórych miejscach poschodziły lawiny, a w innych Jarek i Aga zakładali stanowiska, co na chwilę odsuwało z głowy myśl, o zsunięciu się z tonami śniegu.

Po każdym żlebie prosiłem Dzika o mapę i odliczałem ile zostało do kosodrzewiny.

Stresik jaki panuje, gdy przez newralgiczne miejsce przechodzi ostatnia osoba, jest nie do opisanania.

Na schodzenie poświęciliśmy 5 godzin i już po 12-tej byliśmy gotowi, aby powrócić do rzeczywistości.

tekst: Dawid